Nr 5. Kraków, 3 Lutego 1894. Rok IV.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynos:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Nasze dzieje w ostatnich stu latach.

(Ciąg dalszy).

Mikołaj Zyblikiewicz, syn mieszczanina ze Starego Miasta (w Samborskiem), po skończeniu nauk został adwokatem. Bardzo zdatny, a nadewszystko niezmiernie prawy i szlachetny, rychło zyskał zaufanie i wziętość. Ze wszech stron powierzano mu sprawy; pracując dalej w tym zawodzie, byłby doszedł wkrótce do znacznego majątku. Ale kiedy się Sejmy zaczęły, oddał się cały sprawom politycznym. Miał wielki zapał, dzielność, energię; miał doskonałą znajomość prawa; miał umysł bystry, który się w każdej sprawie, w każdem położeniu odrazu połapał; i miał żywą, gorącą wymowę, zawsze w pogotowiu odpowiedź, którą przeciwników zbijał. Te zdolności przy charakterze nieskazitelnie czystym i szlachetnym sprawiły, że stał się posłem jednym z najznakomitszych i najpotrzebniejszych. Przebył też w Wiedniu długie lata w Radzie państwa, na straży praw i interesów kraju, a świetnych walk w ich obronie stoczył tam z przeciwnikami bez liku. Był przez czas jakiś prezesem poselskiego Koła polskiego. Ale niezmiernie żywy, popędliwy znużył się w końcu tym zawodem, w którym wiele wypada cierpliwie znosić i ustępować, i wolał być burmistrzem w Krakowie niż posłem w Wiedniu. Jako burmistrz oddał się z zapałem sprawom miasta; jego porządek, jego zamożność i świetność były jego marzeniem i celem jego starań. Jako ślad swoich rządów zostawił w Krakowie Sukiennice odbudowane i założone Narodowe Muzeum. Po ustąpieniu hr. Ludwika Wodzickiego z Marszałkostwa objął laskę i dzierżył ją świetnie. Celem jego było poświęcić całą uwagę i pracę kraju sprawom gospodarstwa i oświaty, a mniej się zaprzątać sprawami politycznemi. On to za swojego Marszałkostwa założył Bank krajowy, a u Sejmu wyjednał uchwałę, mocą której co roku przybywać zaczęło po pięćdziesiąt nowych szkół wiejskich. Szło to tak szybko, że w końcu trzeba było zwolnić i nie tak się spieszyć z zakładaniem szkół nowych, bo była obawa, że dla tych nowych szkół nie będzie dosyć nauczycieli. Wskutek jakichś nieporozumień między Wydziałem krajowym a Namiestnictwem, złożył Marszałkostwo w jesieni roku 1886, a wkrótce potem umarł, na wiosnę roku 1887, w tym samym Krakowie, w którym przebył młodość, którym później rządził i do którego przywiązany był najgoręcej.

Adam Potocki, dziedzic Krzeszowic, a prócz tego innych majątków Galicyi i pod rządem rosyjskim, zmarły wcześnie, bo miał zaledwo lat 50, był jednym z najdzielniejszych i najszlachetniejszych ludzi w kraju. Wielkie serce, zdolność poświęcenia się dla kraju, czy dla bliźniego, ścisłe i gorliwe pełnienie obowiązku łączyły się w nim z energią i zdolnością rzadką. Przez te przymioty, do których jeszcze trzeba dodać śmiałość, otwartość, stałość przekonań i świetną wymowę, zajął on w Sejmie i w Radzie państwa jedno z pierwszych stanowisk. Droga, na którą wszedł Sejm i kraj, droga porozumienia z rządem a wierności Cesarzowi, przez niego wskazywaną była krajowi na długo jeszcze przed początkiem Sejmów. Jego układu głównie był ten adres, w którym Sejm Cesarzowi owo przyrzeczenie wierności składał. Z kilkoma przyjaciółmi, dzielącymi jego przekonania, jak Henryk Wodzicki, Franciszek Paszkowski Zyblikiewicz, Dietl i inni, był Adam Potocki środkiem i duszą tych w Sejmie dążeń i działań, które jasną i pewną drogą zmierzały do społecznego spokoju i zgody, do prawdziwego w kraju postępu. Wielki pan z urodzenia i majątku był nieprzyjacielem wyłączności i odrębności różnych warstw społeczeństwa, a tego chciał do tego z całą swoją energią dążył, żeby te różne warstwy zbliżyły się do siebie przez sprawiedliwe prawa i nieprzerwane stosunki. Tak on rozumiał, na tem zasadzał postęp: w każdej też sprawie (naprzykład w gminnej, w drogowej, w wielu innych), zawsze na tem stanowisku stawał, tego bronił. Nie zawsze ze skutkiem niestety, bo nie wszyscy mieli pojęcie tak bystre, wolę tak szlachetną jak on. Pracą dla kraju całe życie zajęty, mógłby był łatwo dojść do najwyższych urzędów, ale jemu i najniższy był dobry, jeżeli

widział, że na nim pożytecznym być zdoła. Pod koniec życia gotów był przyjąć obowiązki delegata Rady miejskiej krakowskiej, do Rady szkolnej krajowej i sprawom wychowania się oddać, kiedy przyszła ciężka choroba, a w końcu śmierć, którą słusznie uważać można za wielkie dla kraju nieszczęście.

Jego syn Artur, kiedy dorósł (w wiele lat po śmierci ojca) wstąpił do Sejmu i w nim pięknie w ojcowskie ślady wstępował. On to, po bankructwie Banku włościańskiego, własną kieszenią i kredytem i głową swoją tyle poradził, że kilkanaście tysięcy zadłużonych gospodarstw włościańskich uratował od przymusowej sprzedaży przez licytacyę. On też w wielkiej części przyczynił się do wykupna Propinacyi, przez które krajowi przybył znaczny dochód, a dawnym właścicielom dostał się znaczny kapitał. Nieszczęście chciało, że zeszedł z tego świata jeszcze wcześniej niż ojciec, bo nie miał nawet lat czterdziestu (1890).

Alfred Potocki, stryjeczny brat Adama, ordynat na Łańcucie, nie miał w sobie tej śmiałości i rzutkości, co tamten, ale miał rozważność, cierpliwość, doświadczenie, zimną krew, spokój i wyrozumiałość w obejściu z ludźmi. W przekoniach swoich był bardzo stały; prawdziwy i godzien zaufania, jak mało kto między ludźmi. Miał też tę ufność, wiarę i powagę powszechną w kraju, a wielką także w Wiedniu, zwłaszcza u samego Cesarza. Kiedy po zwołaniu Rady państwa w roku 1867 chodziło o to, żeby jednego Polaka wprowadzić do Rządu, mianował go Cesarz Ministrem rolnictwa. Później, w chwili wielkich w Radzie państwa sporów i zatargów, licząc na umiarkowanie i spokój Alfreda Potockiego, zrobił go Prezydentem Ministrów czyli postawił go na czele swego rządu. Kiedy książę Leon Sapieha złożył laskę, Potocki został po nim Marszałkiem krajowym, a w rok później, po śmierci hr. Gołuchowskiego, Namiestnikiem. W roku 1883, czując się chorym, podał się do dymisyi. Umarł w roku 1889. Przekonania miał te same, co jego brat Adam, i tak samo jak tamten, łączył dążenie do prawdziwego, rozumnego postępu ze ścisłem przestrzeganiem porządku i z rzetelną wiernością dla Cesarza i państwa.

Osobną wzmiankę słusznie jest poświęcić Józefowi Baumowi. Właściciel Kopytówki (w powiecie wadowickim), za młodu wojskowy, później gospodarz, cieszył się on szczególnem zaufaniem i przychylnością ludu wiejskiego. Posłowie włościańscy często podejrzywali innych: Baumowi wierzyli zawsze. Podobne zaufanie i powagę miał on u wszystkich powszechnie. W Radzie państwa był Wiceprezesem Koła polskiego. Umarł w roku 1883.

Hrabia Władysław Badeni, ojciec dzisiejszego Namiestnika, stał przez długie lata na czele departamentu drogowego w Wydziale krajowym. Jemu głównie zawdzięcza kraj te doskonałe i liczne środki komunikacyi, jakie dziś ma. On ułożył cały plan budowy dróg krajowych, oznaczył, w jakiem następstwie jedne po drugich mają być budowane, on wreszcie prowadził te roboty i dozorował je, a zrobił to w czasie i kosztem stosunkowo małym. Cały plan dróg wykonany jest w zupełności za jego życia. Jaką przez to oddał krajowi usługę, jak dopomógł mu do większej zamożności, to łatwiej zrozumieć niż obliczyć. Odznaczał się prócz tego

W Imię Boże dorobił się!

Bajka, podana na konkurs przez Stanisława Śliwę.

Przy pewnym dworze był powroźnik, bardzo doskonały rzemieślnik. Z jego roboty każdy był zadowolony, więc ten pan, na którego gruncie miał swój dom, i sąsiedni panowie i wieśniacy — każdy chciał mieć powrozy tylko od niego. Ale on przy poczciwej swej pracy bardzo nędznie wyglądał i jakoś wnet majątku dorobić się nie mógł.

Razu jednego przyjechał ze sąsiedniej wsi pan, aby sobie powrorów nakupić, bo to była pora wiosenna, a w tym czasie najniezbędniej każdemu powrozy są potrzebne. Przychodzi z właścicielem wsi do powroźnika i zamawia duży obstalunek.

— Przepraszam bardzo pana — mówi powroźnik — ale nie mam pieniędzy na materyał t. j. konopie, więc nie mogę panu służyć.

Odwraca się wtedy ten pan do tego, u którego był powroźnik i mówi:

— Ten człowiek poczciwy i przytem potrzebny każdemu, a tak nędznie żyje u ciebie, to ze strony twej wstyd.

Dziedzic pomyślał chwilkę i mówi:

— Powoli, powoli, to on się dorobi, na wszystko musi być czas i wola Boża.

— Prawdę ty mówisz — powiada pan ze sąsiedniej wsi — ale spróbujmy, czy się to nie da prędzej zrobić.

I woła na powroźnika:

— Chodź tu, człowiecze, masz 100 guldenów, weź, kup towaru, pracuj, oszczędzaj, a co zapracujesz więcej, chowaj, marnie nie pozbywaj!

Powroźnik ucieszony wziął pieniądze, podziękował, do roboty wziął się żwawo, a wszystkie słowa onego pana w sercu ściśle zachował. Robota mu idzie, zajęcie wielkie, nie ma czasu powroźnik nawet w nocy, bo i nocą pracuje. Już w domu sprzedaż i zamówienia były niewystarczające, trzeba było żonę na jarmark posłać lub samemu jechać ze swym ładnym towarem. Do roku już była dobrze schowana stóweczka na górze

niepospolitą energią, praktycznością. umysłem bardzo jasnym, sądem trafnym i doskonałą, jędrną, pełną treści wymową. Umarł w roku 1888.

Józef Dietl, z niemieckich rodziców w Galicyi urodzony, był z zawodu lekarzem. Jako lekarz był tak niezmiernie zdolny, że mnóstwu ludzi zachował zdrowie i życie, a samą naukę lekarską w niejednem naprzód posunął. Za młodu uczył się i mieszkał w Wiedniu, gdzie go też uniwersytet chciał zatrzymać jako profesora jednej z nauk medycznych. Ale ona wolał wrócić do kraju. Osiadł w Krakowie i leczył, a jako profesor wykształcił bardzo wielu dobrych, zdolnych lekarzy. Jako Rektor krakowskiego Uniwersytetu ujmował się dzielnie i mądrze za jego prawami i przyczynił się znacznie do tego, że język polski był przywrócony jako wykładowy (w miejsce niemieckiego, który był dawniej). W Sejmie zajmował się głównie sprawą szkół i ich poprawy. W końcu został burmistrzem miasta Krakowa i zarządzał niem znakomicie. Złożył urząd z powodu wieku i złego zdrowia, umarł w roku 1878.

Kiedy się zaś wspomniało o tych, którym zawdzięczamy głównie lepszy stan szkół i całą ich organizacyę, to należy się wymienić tych, którym kraj dzieło to głównie zawdzięcza. Dietl ma w tem znaczną część zasługi, ale oprócz niego byli inni, którzy niemniej od niego na tem polu zdziałali, a pracowali na niem dłużej. Takim był Euzebiusz Czerkawski (dotąd żyjący), niegdyś Inspektor szkół średnich, później profesor filozofii w Uniwersytecie lwowskim. Z żyjących Polaków z pewnością najlepszy znawca urządzeń szkolnych w całej Europie, a przez własne doświadczenie doskonale obeznany ze stanem szkół w naszym kraju i z ich potrzebami, był tym w Sejmie, który na układ naszych ustaw szkolnych wpływał najwięcej. Obok niego Zygmunt Sawczyński, niegdyś profesor gimnazyalny, później dyrektor seminaryum nauczycielskiego we Lwowie i prezes Stowarzyszenia nauczycieli szkół niższych. Ten oprócz innych swoich zalet miał rzadki dar wymowy. W sejmowej komisyi dla spraw szkolnych, która te prawa przygotowała, przewodniczącym był przez wszystkie lata Józef Majer, prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, niegdyś profesor uniwersytetu, aż do czasu, kiedy się z powodu późnego wieku ze spraw publicznych wycofał. Stałym zaś członkiem tejże komisyi jednym z najgorliwszych i najrozumniejszych był sławny historyk Józef Szujski, profesor Uniwersytetu krakowskiego, zmarły w roku 1883. *(Dok. nast.)*

RAJBROT (Raibród).

Wieś w powiecie bocheńskim.

Skreślił według źródeł prawdziwych

X. Duszyński, miejscowy proboszcz.

Gmina Rajbrot jest osadą tatarską z pierwszycł napadów na Polskę, bo już za Bolesława Wstydliwego.

Tuż na granicy Rajbrota sterczy na górze skala wielkiego rozmiaru, poprzecinana spodem w różnorodne zygzaki. Ma to być skamieniały obóz tatarski. Przedstawia on malowniczy obraz, zwłaszcza w lecie, w dniu pogodnym. Na tę skałę prowadzą dzieci szkolne, spra-

w dużym, starym trzopie (garnku) i sieczką przysypana, aby nikt nie znalazł, nawet i żona. Na kupkę przybywa, więc powroźnik tem bardziej podwaja pracę i do trzopa na górze dosypuje.

A raz trzeba było powroźnikowi udać się wczas rano na jarmark z powrozami. Po odejściu powroźnika przyjeżdża przed dom braciszek OO. Reformatów i prosi powroźniczki, czyby nie miała co dla koni. Litościwa kobietka przeprasza, że nie ma siana, ani owsa, rylko trochę sieczki na górze. Zakonnik i na to się zgadza. Tu mam sieczkę — myśli sobie — a we dworze dostanę owsa i konie popasę. Kobiecina niesie cały trzop ze sieczkę. Zakonnik wziął trzop z sieczką, podziękował i pojechał do dworu. We dworze dostał owsa i siana, więc konie popasł, a sieczki nie tykał i tak zostało na dalszy czas na wozie z trzopem.

Wraca powroźnik z jarmarku. Niewiele towaru wziął, niewiele nakupił konopi, bo się miało ku zimie, więc myślał sobie: i tyle wystarczy. Jak tylko wszedł do domu, tak żona mu zaraz opowiada o miłosiernym uczynku, jaki wypełniła. Biegnie chudak wprost na górę, szuka i płacze, a tu jego pracy całej już nie ma i przepadła. Żonie nic nie rzekł, sam tylko martwi się, mało je, mniej pracuje i za parę tygodni słychać, że powroźnik tak zamożny przedtem, już jeść nie ma co. Dziedzic dowiedział się o tem, wezwał powroźnika o przyczynę. Ten żonie nie powiedział, ale gdy przyszło przed panem, całą sprawę objaśnił. Więc pan go naucza, w jaki to sposób sobie ze skarbem postępować trzeba, ale powroźnik powiada:

— Wielmożny panie! jakbym ja miał teraz pieniądze, tobym nie był takim głupim.

Pan widzi, że już dobrze zrozumiał naukę, tak daje mu 100 guldenów i mówi: pracuj.

Powroźnik przychodzi do domu, pełen radości i nowego ducha, bierze się do pracy i idzie mu wszystko jak wprzód dobrze. Już kilka reńskich oszczędził, ale myśli sobie: Pan mądry dla siebie, a ja dla siebie. I tak nie według nauki, lecz według swego namysłu, kiedy nikt nie widział, zaszył pieniądze w czapce, w której nawet w nocy sypia. Ani kroku bez tej czapki nie robił, co oszczędził, to zaraz z niemi do czapki.

wiając im majówkę. Na szkarpie wśród skarłowaciałych sośniaków ozdobionej chorągiewką usiadają muzykanci i grają od ucha, a na rozłożystym szczycie skały tatarskiej tańczy 50 par dzieciaków.

W początku trzynastego wieku straszna nawała Tatarów pod dowództwem hana Burdonaja zalała całą Ruś i zmusiła książąt ruskich do połączenia się z nimi do wyprawy na Kraków. Tu poczyniła ta dzicz prawdziwa straszne zniszczenie. Oddział Burdonaja, uchodząc z licznym łupem z kraju, spoczął na jednej z gór otaczających dzisiejszy Rajbrot. Okolony naturalnym wąwozem, spodziewał się, że spokojnie przenocuje, by rankiem ruszyć za Wisłę. Czując się bezpiecznym, pozwolił dowódca swoim Tatarom używać wywczasu. Rozpalono ognie, pieczono koninę, dojono kobyły.

Wtem z pierwszym dnia brzaskiem posłyszano tentent kopyt końskich, a nim się zmiarkowali Tatarzy, już byli obsaczeni przez rycerską szlachtę, która, zebrawszy się kolo Krakowa, ruszyła w pogoń, by pomścić swej krzywdy, odebrać zabrane w niewolę kobiety i wiele dobytku.

Zbudzony ze snu han, powiadomiony o niebezpieczeństwie, zaklął straszliwie na Boga chrześcijańskiego, a zawoławszy Ałłach: skamieniał w tej chwili ze wszystkimi Tatarami, wzięci zaś w niewolę wyznawcy Chrystusa pozostali przy życiu i wrócili do swoich zagród.

Lecz wracam do początku osady. Gmina Rajbrot, jak to na wstępie powiedziałem, jest osadą tatarską, położoną wzdłuż rzeczki, mającej tu swój początek, zwanej mylnie „Uszwieą" od wsi Uszew, którą w dalszym biegu przepływa.

Cała okolica tutejsza, gdzie obecnie: Lipnica murowana, Królówka, Rajbrot, Wojakowa, Iwkowa — gęstemi niegdyś pokryta lasami: dębiny, buczyny, sosny i jodły — była własnością dóbr królewskich, w których też od czasu do czasu odbywały się łowy na grubego zwierza. Dzierżawcy zaś tych dóbr miasto czynszu mieli obowiązek dostarczać karmy dla psów dworskich, a ich dworki schronienia dla myśliwych królewskich. Była to prawdziwa, dawniejsza Syberya bezludna. W dworku trzymano najemnych pachołków lub wziętych przemocą w niewolę. Nadawała się przeto ta okolica na osadę jeńców wojennych do zaludnienia.

W roku 1241, gdy na wieść o śmierci Ogodoja Tatarzy w zamieszaniu wracali coprędzej z bogatym łupem zabranym w Polsce, by się przeprawić za Wołgę, zebrali się nasi rycerze w pogoń za tą dziczą — napadli rozłożonych nad Wisłą około Niepołomic, pobili, łup odebrali i wzięli kilka tysięcy tej dziczy do niewoli.

Królewską cześć zdobyczy przeszło 400-tu Tatarów wraz z niektoremi kobietami postanowiono tu osiedlić w lasach królewskich, w celu założenia osady choć z cudzoziemców, bo ze swoich żaden chłop tu nie chciał siedzieć, choć mu dawano i ziemi i lasu i pastwisk, ileby tylko zechciał za darmo.

Wziętych w niewolę Tatarów przypędzono tu pod dowództwem sługi królewskiego nad rzeczkę, która podówczas wezbrana przedstawiała trudność do przebycia. Oglądano się za człowiekiem tutejszym, któryby wskazał bezpieczne miejsce przeprawy, lecz daremnie. Pu-

---

W ten sposób w jednym roku swój majątek pilną pracą podwoił i do czapki zaszył.

Aż raz na wiosnę, gdy miał najwięcej do roboty, wychodzi spracowany na dwór i patrzy się, jak bocian coś zbiera po drodze. Chciał z ptakiem pofiglować, kiwa ręką, ale ptak nic, kiwa nareszcie głową, niby mówiąc: masz czapkę. Wtedy ptak łap czapkę w swój wielki dziób i uniósł się w górę. Powroźnik leci za nim, woła krzyczy, ale nadaremnie. I tak już po raz drugi pozbył się swego skarbu powroźnik i sam biedny i jeszcze biedniejszy, bo teraz mu przychodzi do głowy, że na cóż ma robić, kiedy to wszystko nadaremnie; opuścił ręce, próżnuje i myśli i duma, a do jego chaty wciska się coraz większa nędza.

Pan się dowiaduje i posyła znowu po powroźnika. Przychodzi w pokorze i opowiada całe zdarzenie ze szczerą prawdą. Pan slucha poważnie, laską w śmieciach, co tam były, grzebie, jakby czego szukał. Gdy powroźnik całe żale swe wypowiedział, wygrzebał pan ze śmieci kawałek ołowiu, schyla się po to i rzecze:

— Kiedy pieniądzmi memi nie mogłeś się dorobić, to teraz w Imię Boże daję ci ten kawałek ołowiu którym znalazł; idź w Imię Boże, pracuj i dorób się

I odszedł pan od powróźnika. Powroźnik popatrzył za panem, rozpłakał się, popatrzył w ręce na ołów, westchnął ciężko i myśli sobie:

— Jaka ta praca moja ciężka jak ten ołów i daremna jak i to, ale wezmę w Imię Boże, co mi dał

Wróciwszy do domu, położył ołów, a sam, jak mógł, tak pracował, aby siebie, żonę i dzieci żywić a już się więcej na pana nie oglądał. Za kilka dn potem łowili rybacy ryby w pobliskiej rzece i jakoś im tam źle szło, bo sieci spływały i połów bardzo był nie pomyślny. Wtedy jeden z nich przychodzi do powroźnika i mówi mu, czyby nie miał kawałka ołowiu do sieci.

— At mam — powiada.

— To dajcie mi to — powiada rybak — i chodźcie ze mną, co będzie pierwsze, jak ten ołów uwiążę, to wam oddam za ten ołów.

Powroźnik poszedł, rybak przywiązał ołów do sieci, zapuścil do wody i za pierwszą razą wyciąga

szczono przeto naprzód kilku Tatarów, by ci zmiarkowali głębokość wody; a gdy ci przebrnęli, nawoływali swoim językiem, aby jechać za nimi. Dowódca eskortujący, Polak, nie rozumiejąc języka tatarskiego, pytał się tłómacza: „co on mówi?“ Tłómacz odpowiada: „rai (radzi) w bród“ — i stąd nazwa wsi: Raibród — dziś powszechnie Rajbrot zwanej.

Osadzeni tu w ten sposób Tatarzy pod nadzorem kilku zbrojnych sług królewskich mieli obowiązek korczyć lasy, budować sobie domy i uprawiać rolę. Błogosławiona królowa Kinga kazała tu wystawić w r. 1263 kościół z modrzewia, który podziśdzień istnieje jako kościół parafialny; przysłała też dwóch księży katolickich, którzy mieli osadzonych tu Tatarów uczyć prawd wiary i chrzcić.

Lecz praca z tą dziką ludnością musiała być znojna. Tatarzy, przywykli do wolności, nie chcieli słuchać nauk czarnych księży, nie chcieli korczyć lasów, rąbać drzewa, stawiać domów, uprawiać roli, lecz skleciwszy naprędce jaki taki szałas, woleli wychodzić na łowy. A gdy zwierza podówczas było podostatkiem, mogli zaspokoić swoje potrzeby pożywienia bez ciężkiej pracy; na okrycie zaś wystarczała skóra z ubitego wilka lub niedźwiedzia.

Otaczano jednakże zawsze tutejszą ludność opieką duchowną. Od r. 1263 mieli tu nieprzerwanie kapłana katolickiego, a metryki rzadkie przechowują tu jeszcze z r. 1681 pismem kurzywnem kreślone przez ówczesnego plebana Szymona Świerczewicza.

Ale zamiłowanie, swoboda, chęć rabunku i zdobyczy, życia próżniaczego choćby głodnego, niedowierzanie obcym, nieznoszenie jakiejkolwiek władzy — chyba hana, któryby w oporze bez sądu łeb uciął, te przywary zrosły się już z krwią rodową, która mimo krzyżowania się przebija podziśdzień w pokoleniu.

Ciekawe też tu można spostrzedz okazy kształtu twarzy, ruchów, ciekawe i nazwiska pojedynczych, które dotąd mają.

Urodzony w sąsiedniej Królówce wieszcz nasz Kazimierz Brodziński roku 1791 często przechodzić musiał już jako chłopiec około skamieniałego obozu tatarskiego, zdążając do jedynej podówczas szkółki w Lipnicy murowanej, gdzie jego ojciec mieszkał, dzierżawiąc dobra królewskie: Lipnicę murowaną, Rajbrot i Królówkę. Macocha zaś jego gospodarowała w Królówce. Później, gdy podrósł, przybywając ze szkół na wakacye, często — jak sam pisze — przesiadywał na tej skale tatarskiej, podziwiając cudną przyrodę. Tu dumał i spisywał sielanki. Umarł w Dreżnie 1835 r.

Czytałem gdzieś, dawno już temu, spisane własnoręcznie wspomnienia z młodości Kazimierza Brodzińskiego, w których krótki ustęp poświęca Rajbrotowi podobnoć z r. 1812, w którym tu przebywał, odwiedzając swoją macochę, która miała być bardzo złośliwa i wiele od niej przykrości znosić musiał, bo i ojciec się jej bał i gdy krzyk jej posłyszał, umykał jak najdalej, by mu się też co nie oberwało.

Otóż ten poeta nasz wspomina, iż mu się Rajbrot (a pisze Raibród) jako wioska podoba. Chaty dymne, po obydwu stronach przepływającej rzeczki położone wyglądają jak gniazda jaskółcze, poprzyczepiane do gór w przekrojach, lecz lud tutejszy nie przypada mu do

---

dwie ryby i oddaje powroźnikowi za ołów. Ten przynosi do żony, a ta uradowana zaraz je przyrządza i w jednej z nich znajduje we wnętrznościach kamień bardzo ładny. Pokazuje uradowana mężowi, ten się dziwi, że to ładniejsze jak ołów i kładzie na półce w kuchni. A żonie przykazuje, żeby gdzie nie zginął:

— Niech ten kamień tu będzie — powiada — żebyś go gdzie nie podziała, bo jakby się pan kiedy o ołów pytał, to się mu ten kamyczek da.

Jednego razu przyszadł żydek i pyta, czyby nie było co sprzedać. Powroźniczka mówi, że nie ma nic, ale zobaczył kamyczek na półce.

— Ny, pokażcie, co to macie? ja kupię to.

Jak się żydek przypatrzył kamyczkowi, daje zaraz reński, potem dwa i trzy. Powroźniczka bierze kamień z ręki chytrego żydka i powiada, że nie sprzeda, bo mąż nakazał, aby tego nigdzie nie podziała.

— Z tego kamyczka — powiada — mamy i tak wygodę, bo wieczór chociaż ciemno, to nam przyświeca, jakby na kaganku.

I tak żydka odprawiła z domu. Gdy mąż powrócił do domu, opowiada mu całe zdarzenie, a powroźnik mówi bez namysłu:

— Trza było sprzedać, skoro aż 3 guldeny dawał.

Ale wnet przyszło mu na myśl, że pan się może będzie pytał o ołów. Bierze więc kamyk i zanosi do pana. Pan bierze w rękę i mówi do powroźnika:

— Chciałem cię zbogacić pieniądzmi i mogłem a tu w Imię Boże z kawałka ołowiu już jesteś bogatym. Za ten kamień, któryś mi oddał, ja tobie dzisiaj oddaję cały dwór ze wszystkiemi zasobami.

I już powroźnik od tego dnia właścicielem dworu. Z parę miesięcy przejeżdża przez tę wieś zakonnik OO. Reformatów, dowiaduje się o powroźnika i oddaje mu trzop z pieniądzmi. Na wiosnę chodzi sobie powroźnik koło dworu, patrzy, a tam na dębie bocian coś ma dużo do czynienia, przypatruje się z pilna, a tu ryms na ziemię z gniazda bocianiego czapka powroźnika z pieniądzmi.

— Ha — myśli sobie — to i owo mnie zawiodło ale w Imię Boże się zbogaciłem.

smaku. Mówi, iż nieraz chciał się zbliżyć do ludzi tutejszych i pomówić z nimi, ale nie przyszło mu to łatwo, bo chłop tutejszy, zagadnięty przez niego, z niedowierzaniem spoglądał i uchodził, nie odpowiadając nawet na pytanie. Kobiety się zaś nawet po za domem nie pokazywały, tylko w potrzebie koniecznej, że zamiłowanie swobody, wstręt do ciężkiej pracy, nieznoszenie rozporządzeń władzy przeszło nawet w tegowieczne pokolenie tutejszej ludności, dowodzi ciekawie opisane zdarzenie z r. 1837 w parafialnej księdze pamiątkowej *(liber memorabilium)*. Owczesny proboszcz od r. 1832 do 1841 ś. p. X. Wincenty Katarzyński, kapłan wzorowy i mąż energiczny, dbający o moralne i materyalne dobro swych parafian, tak opisuje zaburzenia ówczesne:

„R. 1837 in Decembri (w grudniu). Już w r. 1700 *(vide in metricis antiquis)* parafianie zbuntowali się, aby mesznego nie oddawać X. plebanowi, aby byli karani etc. W r. 1873 przez urlopników tak się zbuntowali, że trudno opisać.

1⁰ Najprzód mnie, żem nie dał ślubu w niedzielę, wielkie obelgi porobili i ja jak największe zelżywości z całym domem wycierpiałem. A jakże ja miał dać ślub w niedzielę, kiedy już po nabożeństwie przyszli do kościoła wszyscy weselnicy pijani, dający innym zgorszenie — musiałem ich zaskarżyć do cyrkułu i buntownicy jedni odsiedzieli w kryminale, drudzy przy wojsku.

2⁰ Nie dali żadnemu tak swojemu jak obcemu przez Rajbrot przechodzącemu pokoju, tylko bili, łańcuchy od wozów odpinali i zabierali, jeden drugiemu okna wybijał, że zgroza było widzieć i słyszeć. Trudno opisać.

4⁰ Na pana Kollatora Pantaleona de Ursko Dunikowskiego także się zbuntowali tak, że przez dwa lata najmniejszej roboty robić nie chcieli, ani ciągłej, ani pieszej, ani komornych dni nie odrabiali, nawet tym, którzy z ochoty szli do roboty, na drodze zastępowali, bili i śmiercią im zagrażali. Cóż się nie dzieje? Subordynacya (posłuszeństwo) być musi, buntowników ukarać trzeba i stało się. Dominium (za bytności sędziego p. Jędrzejowskiego) sprowadziło wojsko różne na egzekucyę, z której nastąpiła bieda. Prawda, że mieli napomnienie cyrkularne. Mieli i zapowiedzenie, w który dzień przyjdzie wojsko. Ale oni napomnienia cyrkularne mieli sobie za nic. Aż tu ujrzano z góry, że idzie i jedzie wojsko. Wtedy wszyscy coprędzej z chałup pouciekali do lasów, zabrawszy bydło i co mogli naprędce. Było to w niedzielę ostatnią po Świątkach r. 1837 i tak się stało z Rajbrotem, jak opisane w Ewangielii na tę niedzielę, ino żem jej nie miał komu czytać, bo oprócz mnie, organisty i grobarza nikogo w kościele nie było.

(Dokończenie nastąpi.)

Na uroczystość Oczyszczenia N. P. Maryi.

Sędziwy kapłan, Symeon stary,
Pełen ufności w Boga i wiary,
Ta obietnica była mu dana,
Że nie miał umrzeć, aż Zbawcę — Pana
Ujrzy na ziemi oczyma swemi.
I tak się liczy z dniami tęsknemi.
Kiedy Przeczysta z Synem na ręce
Spieszy w Świątynię, by w podzięce
Panu nad Pany złożyć ofiarę.
Chociaż uchyla Ją prawo stare,
Prawo Mojżesza od obowiązku,
Lecz z pobożnością, pokorą w związku
Cóż nie czyni, aby przykładem
Być innym, aby poszli tym śladem.
Natchniony duchem kapłan sędziwy
W Świątynię dąży — i tam szczęśliwy,
W Dziecięciu, w Ciele Boga poznaje
I zaraz winną cześć Mu oddaje,
A wziąwszy Dziecię na swoje ręce,
Wznosi westchnienie Bogu w podzięce
I rzecze: Teraz już Panie Boże,
Puść sługę Twego w pokorze,
Puść mnie w pokoju, gdy oczy moje,
Już oglądały Zbawienie Twoje,
Które posłałeś na odkupienie,
Ludowi Twemu i na zbawienie.

Już wiek upłynął i my czekamy
Wszechmocny Panie i wyglądamy
Twego zbawienia w ciężkiej niedoli,
Z całem poddaniem Twej świętej woli.
Spojrzyj, o Panie, z Twej wysokości,
A połóż koniec tej wrażej złości.
Tam pod Moskalem Twe dzieci wierne
Znoszą katusze, męki niezmierne,
Różne cierpienia znoszą bez miary,
A wszystko dla Twej prawdziwej Wiary,
Wejrzej o Panie, abyśmy kiedy,
Ujrzawszy koniec tej ciężkiej biedy,
Wraz z Symeonem Twe zmiłowanie
Wielbili mówiąc: Wszechmocny Panie!
Gdyś nas wybawił od wrażej siły,
Gdyś nam powrócił spokój tak miły,
I świętą Wiarę, po trudach znoju,
Puść sługi Twoje, Panie, w pokoju,

Wielowieś w styczniu 1894 r.

Ferdynand Kuraś, włościanin.

Wspomnienia starego Kobziarza.



Rok 1866 dziwnie się rozpoczął w naszych górach. Zaraz pierwszego dnia, jak ludzie szli do kościoła, zobaczyli na *Klimkowej Górze* niedźwiedzia. Dawniejszemi czasy zdarzało się to pono często, ale od 50-ciu lat nikt go tu nie widział. Jedni wróżyli z tego szczęście, drudzy nadzwyczajne wypadki. Doniosło się to aż do X. Proboszcza.

— Co Pan Bóg da — powiedział — to będzie, niedźwiedzie przecież nami nie rządzą.

I świętą prawdę powiedział, bo choć w tym roku rzeczywiście zaszły nadzwyczajne wypadki, to z pewnością niedźwiedź temu nie winien.

Najpierw nastała *odbierka* (asenterunek) wcześniej, aniżeli po inne lata i narobiła mi zmartwienia dość, bo mi najstarszego chłopaka *ostrzygli.* Przez cały miesiąc potem kobieta głowę mi suszyła, a ja nie mogłem jej nawet nic odpowiedzieć, bo dużo było w tem mojej winy. X. Proboszcz nieraz mi powtarzał: „Reklamujcie, Franciszku, reklamujcie, bo będzie źle“. Ja sobie myślałem: Pradziadek, jak słyszałem, byli co prawda przy wojsku, ale dziadek się nie zdali, tatuś także, ja też — to tam jakoś może i jemu obleci: chłopak cienki i chuderlawy. To mi tylko czasem przechodziło przez głowę, że śmigły i zdrowy, jak rydz, ale uspakajałem się znowu tem, że miał moją i dziadka naturę: kobza, skrzypce, klarnet — do tego aż się palił. I byliby go pewnie nie wzięli, gdyby nie to, że w tym roku asenterunek był bardzo ostry: nawet *blatfusy* brali. Cóż było robić? Wzięli, to przepadło: dziej się wola Boża. Babina się nagadała i przestała. Ba, niedługo łup i mojego chłopaka wołają, a nie tylko mojego, ale i innych. Stał się między ludźmi rozruch. Nic innego — powiadają wszyscy — tylko, że będzie wojna. Z kim? nie wiadomo, ale wszyscy tylko o wojnie mówią. Kobiety płaczą, rekruci popijają, śpiewają i jadą. Powoli wszystko się uspokoiło. Coś po miesiącu przychodzi od mojego list. Bardzo nas wszystkich pięknie pozdrowił i powiada, żebyśmy się niczego nie bali. Wojna, powiada, pono będzie z *Prajsem* (bo tak wtedy nasi nazywali Prusaka), ale to nic. Już, powiada, wszystko umiem, co się tyczy *egzycerki*, a chodzę tylko grywać na trąbce. Okropnieśmy się wszyscy tym listem ucieszyli i tak zeszło do *Maja.* Dotąd tyle już ludzie o wojnie nagadali, że nareszcie nikt już w to nie wierzył, bo jakby miała być, myślał sobie każdy, toby już była. Ale nie prawda! Gdzieś kolo połowy *Maja* przyleciały z powiatów pisma, żeby wszyscy, co do wojska należą, byli na miejscu, a w kilka dni potem przyszły wezwania, żeby każdy w 24 godzinach stawił się na oznaczonem miejscu. Wojna! wojna z *Prajsem,* leciało teraz od miasta do miasta, od wsi do wsi. Wezwali najpierw młodszych, ale wnet potem i starszych żołnierzy. Dniem i nocą nic, tylko ludziska jadą i idą: śpiewy i lamenty — wszystko razem słychać po wszystkich wsiach i miastach. Tu matki płaczą, ojcowie rękawami łzy ocierają, a hultaje urlopniki podpite poobejmowali się za szyję rękami i śpiewają:

Ojcowie z matkami,
Będziecie płakali,
Tylko nas pożeną
Pod karabinkami.

Każdy widzi, że oni już pod karabinki idą, więc płacz jeszcze większy.

Tam znowu dziewczęta zawodzą, a urlopnicy je pocieszają:

Ażebyś ty wiedziała,
Jaka śmierć moja:
Kula rozpalona
I do mnie wpadniona,
Toć to śmierć moja.
Ażebyś wiedziała,
Jaki pogrzeb mój:
W polu wrzucą tam,
Kamracia wykopią dół,
Toć to pogrzeb mój...

Zwyczajnie jak po pijanemu.... Gdzie przyszło odejść od żony i dzieci, to tam było inaczej.

Przewaliło się nareszcie to wszystko i już tylko każdy czekał i pytał się, czy się gdzie nie bili.

O naszym chłopaku długo słychać nie było. Przychodzi nareszcie list od niego, ale już nie z Krakowa

tylko z *Ołomuńca.* Serdecznie nas wszystkich w nim pozdrowił i podziękował najpierw Bogu, a potem nam wszystkim za to, co mu się dobrego najpierw od Boga, a potem od nas wszystkich dostało. Prosił bardzo, żebyśmy się o niego nie bali, bo on się już Bogu i Matce Najświętszej polecił, a powiada:

Dobrze na wojence, kto Boga uprosi:
Żołnierze strzelają, Pan Bóg kule nosi.

Pytaliśmy się go w poprzednim liście, czy mu czego nie potrzeba, a i o to, czy ja mogę powlec się na *Podlasie.* Więc odpisał teraz, żeby mu pieniędzy nie przysyłać, bo ma dość, a tatuś, powiada, niech, jak zwyczajnie, na zarobek idą, żebyśmy obaj roku nie zmitrężyli.

Napłakało się kobiecisko dość, ale cóż było począć? Wybrałem się i jak zwyczajnie, poszedłem na zarobek na to *Podlasie.* Przez drogę myślałem sobie: Robiłem przeszłego roku biednym *Podlasiakom* nadzieję, że jakby Moskal chciał im Wiarę św. wydrzeć, to nasz monarcha katolicki mógłby się za nimi ująć. A tu wojna. Niech jeszcze ta wojna, czego Boże zachowaj, wypadnie niepomyślnie, to wszystko przepadło...

Sąd u wójta.

Na zachód od Krakowa, idąc gościńcem do Chełmku, za trzy godziny staniemy na pagórku, z którego tuż pod nim widać wioskę małą; chaty jakby w kółko złożone, poprzeplatane zieloną drzewiną. Droga i mały potoczek rozdziela ją na dwie części. W środku wioski stoi kapliczka murowana, a po za nią widać jakąś okazałą chatę. To domostwo wójta czyli sołtysa — jak to dawniej mówili. Koło domu porządek, kamieniem wyłożono, gnojownia opodal pod stajnią, sadek i pasieka. A i w domu obok obrazów Pana Jezusa i Świętych jest w ramach i za szkłem: orzeł polski, Kościuszko i t. p., dalej zegar, co było rzadkością. Boć to nasz sołtys, człowiek oczytany, bywalec światowy; każdemu doradzi, a przytem przychylny i przystępny dla wszystkich, toć to już około dwudziestu lat, jak jest sołtysem, zawsze jednomyślnie wybierany. A żona sołtysa, czyli sołtyska, to kobieta gospodarna i ruchliwa, rzekłbyś, że to druga Rzepicha owego Piasta w Kruszwicy; w domu i po za domem czyściutko, wszystko na swojem miejscu. To też nie dziw, że chętnie przychodzą ludzie na pogawędkę, lub jakiejś rady zasięgnąć, bo nasz sołtys ma gazetki i różne książki, coś nowego przeczyta, opowie, doradzi. Przy takiej harmonijnej zgodzie naszych sołtysów i ich gościnności ludzie ich szanowali i lgnęli do nich. Przy takiem pożyciu czas płynie spokojnie i miło.

Jak tylko wiosna zawitała, robota po robocie, właśnie sianokosy ukończono, żniwa nadchodzą, prawda, że czas trochę wolniejszy, ale każdy coś załatwia, sporządza. I naszego sołtysa dziś słońce uprzedziło, bo wczoraj był w powiatowem mieście za różnemi sprawami gminnemi, ale sołtyska już od rana się krząta, to dziewkę z bydłem w pole wyprawia, to koło śniadania, ot jak gospodyni; Janek zaś, starszy synek, z końmi się wybiera, podwodzi pod pagórek, chcąc tam nadgrodzić sobie do wzrostu i siada.

Właśnie skończył sołtys swoje pacierze poranne, gdy wtem wchodzi prędko i zziajany Szymek z końca wsi:

— Niech będzie... pochwalony... Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Amen. A cóż tam powiesz, mój Szymku — pyta się go sołtys.

— A toli widzicie, mój sąsiad Walek tej nocy uciął w kaczyńcu brzózkę, a do rana gdzieś ją schował — powie Szymek, schylając się przytem do kolan sołtysowi.

— A widziałeś? — mówi sołtys.

— Nie widziałem — odpowie Szymek — ale to on uciął, bo jak my się gruntem podzielili, to ta brzózka stała akurat w granicy i ja chciałem połówkę, ale Walek nie chciał mi dać.

— Ano kiedy tak macie między sobą, to w południe przyjdziesz do mnie, a po Walka poszlę radnego, to my tu tę sprawę rozpatrzymy — powiedział sołtys do Szymka.

Sołtys już zawiadomił radnego, aby w południe przyszedł, bo będzie sąd. Wezwał też i zastępcę, aby tej sprawie nadać więcej uroku. Nasz już znany Szymek się zjawił. Radny poszedł po Walka; wchodzi zastępca, później radny, a za nim nieśmiało a nam jeszcze nieznany Walek. Posiadali. Sołtys wstał i mówi:

— Słuchajno Walku, Szymek się skarży, żeś mu ściął brzózkę, prawda to, hę?

— Nie uciąłem brzózki... bo... — tu jakoś Walka zakrztusiło i poczerwieniał się.

— Nie prawda, boś ty uciął, bo ja chciał połowę, bo jeśli grunt na pół, to i brzózka też na pół — natarczywie tnie Szymek.

— No jakże będzie? Walek mówi, że nie uciął, tyś, Szymku, jej także nie widział, chyba że będziesz przysięgał — tu sołtys zwraca się do Szymka.

— A jużci, będę przysięgał — mówi Szymek.

— Idzino, Kaziu, do komory po świece — mówi sołtys do swego synka, który stał przy ojcu.

W izbie cisza się zrobiła: na stole stoi krzyż z Panem Jezusem, po bokach w lichtarzykach dwie świece sołtys zapalił, zatrzymał się, wzrok jego utkwił w wizerunku Ukrzyżowanego, wargi się ruszały; wzywał pomocy i światła z góry, modlił się. Odwraca się nareszcie i wychodzi do sieni i woła Walka do siebie.

Walek z chęcią wyszedł, bo mu już i tak było parno w izbie. Tam za kominem półgłosem mówi sołtys:

— Wiesz ty, Walku, co to przysięga, a jeszcze przed Panem Jezusem? Przyznaj się tylko przedemną, to Szymek nie będzie przysięgał...

— A jużcić, to ja ściąłem brzózkę... — mówi Walek, ściskając kolana sołtysowi.

W izbie zaś cicho, tu krzyż i świece się palą, na ścianie tylko zegar czas mierzy swym chodem; ale drzwi się otwierają, wchodzi sołtys, idzie do stołu i gasi świece, Walek zaś usiadł tuż przy drzwiach.

— Ano to już nie potrzeba przysięgi — mówi sołtys — bo to może i Walek ściął brzózkę! Ale mówiłeś, Szymku, żeś chciał połowę, to ci Walek spłaci.

— Ja znałem tę brzózkę — odzywa się radny — bom tamtędy nieraz przechodził, wartała ze cztery złote.

— To teraz daj, Walku, dwa złote Szymkowi jako połowę. A że nie było przysięgi, to my karę darujemy — zakończył sołtys.

Skwapliwie wyjął dwa złote Walek i dał Szymkowi, a ściskając kolana sołtysowi i radnym, w dodatku sołtysce, spieszno wyszedł. Za nim i Szymek już zadowolony. Później wyszli, odnosząc wrażenie z co dopiero odbytej sceny, a i sołtys był kontent, że się w zgodzie rozeszli bez kłótni i dalszych sądów.

Jan Słomak.

Jak pisarz jeden został królem?

Jeden parobek opowiadał chłopom w karczmie różne bajki. Trwało to już kilka godzin, tak parobczak się zmęczył i konceptu mu już brakowało. Ale chłopi, jak chłopi — do tego podpici — wciąż go napastowali, żeby dalej gadał. Gdy już nie mógł i nie chciał, chwycili go, wrzucili do worka, zawiązali, zanieśli nad rzekę i powiedzieli: „Jak do jutra nie wymyślisz jakiej nowej gadki, to cię utopimy“. Leży biedny parobek w worku i myśli, co to jutro z nim będzie. Jakoś niedługo potem słyszy, że ktoś tamtędy przechodzi. Tak do głowy po rozum i krzyczy: „Ja nie umiem ani pisać, ani czytać, a oni mnie chcą królem obrać!“ Pisarz jeden (a on to właśnie tamtędy przechodził) myśli sobie: Kiedy jego chcą królem obrać, choć nie umie czytać i pisać, to mnie tem prędzej obiorą. Odwięzuje zatem wór, wydobywa parobka i prosi, żeby go na swoje miejsce wsadził i zawiązał. Parobek zrobił to z ochotą, bo kontent był, że się tak szczęśliwie od biedy wyratował. Chłopi popijali sobie w karczmie do rana, ale o parobku nie zapomnieli. Przychodzą, pisarz nie wie, o co chodzi: więc go łap i bach z workiem do wody.

I tyle go oczy ludzkie widziały.

Wiadomości polityczne.

Ojciec św., jak słychać, ma wkrótce wydać dwie *Encykliki* (odezwy) do świata katolickiego: jednę na zakończenie *Jubileuszu*, drugą o cierpieniach i prześladowaniach Kościoła św. pod rządem rosyjskim. Donoszą zarazem gazety, że Biskup *Zerr* nie był wcale wysłany przez cara do układów z Ojcem św., lecz przybył do Rzymu, jak zwyczajnie, Biskup, aby Ojcu św. złożyć hołd i opowiedzieć, co się z Kościołem św. dzieje w jego dyecezyi.

W ostatnich czasach cały prawie świat zainteresował się *Serbią*, niewielkim krajem, położonym za *Dunajem*, na południe od *Węgier*. Sąsiednia Bulgarya pozbyła się wpływów moskiewskich: więc rośnie w siły i używa coraz więcej błogiego spokoju. *Serbia* zaś nie zdobyła się dotąd na ten krok i stąd jej nieszczęścia, zawieruchy, niepokoje, a i nędza, bo to zawsze w parze chodzi. Przez te nieszczęsne, *schyzmatyckie* wpływy dziwne się tam rzeczy w tej *Serbii* dzieją już od kilkunastu lat. Najpierw król *Milan* rozwiódł się z żoną i wydalił ją z kraju, bo trzymała się Moskali. Niedługo potem sam musiał złożyć koronę i opuścić nie tylko kraj, ale i małoletniego syna. Biedne dziecko zostało na łasce rządców ministrów, w rękach obcych ludzi, a w kraju coraz gorzej się działo. Aż do pełnoletności królewicza miało tak być, ale niepokoje do tego doszły, że zeszłego roku (w kwietniu), jak to *Krakus* pisał, młodziutki, bo zaledwie 16-letni królewicz objął sam rządy. Na chwilę niepokoje przycichły, ale niezadługo znowu się poczęły wzmagać. Słychać było, że Moskale wytworzyli tam sobie szajkę rewolucyonistów, którzy młodego króla mieli usunąć, a kogo innego na tron wprowadzić, takiego, którył Moskalom był na rękę, a nie krajowi. Te słuchy widać nie były marne, skoro teraz młodziutki król ojca *Milana* do siebie przywołał, ministrów dawnych usunął, a nowych ustanowił i obrady *Skupczyny* (tak tam nazywa się *Rada państwa*) odroczył na czas późniejszy. Spodziewano się w *Belgradzie* (tak się nazywa stolica Serbii) i przyjazdu królowej matki z zagranicy. To są właśnie te wypadki, które w ostatnich czasach zwróciły na *Serbię* uwagę.

Zaszedł i w *Niemczech* ważny wypadek. Oto tutaj znowu cesarz *Wilhelm* pogodził się ze swoim dawnym ministrem *Bismarckiem*, co to wielkim był wrogiem Kościoła św. i naszego narodu. Jakie to było pogodzenie się, dobrze nie wiadomo, tyle tylko na tem prawdy, że *Bismarck*, który ciągle na cesarza szczuł swoich zwolenników, odwiedził teraz cesarza w *Berlinie*, a cesarz przyjmował go uprzejmie. Może być, że *Bismarck* się upamięta. Byłby czas wielki, bo to starzec, co nad grobem stoi, i w ostatnich czasach na zdrowiu ciężko zapadał.

Zresztą na świecie nic nowego, prócz tego, że *masonowie* i ich usłużnicy, a zwlaszcza socyaliści i rewolucyoniści nie śpią, a rządy ich chwytają i pod klucz biorą.

Wiadomości ze Sejmu.

Wspomniał już *Krakus* w poprzednim numerze o wniosku p. *Adama Jędrzejowicza*, przedstawionym Sejmowi w imieniu wielu posłów w sprawie konkurencyi kościelnej. Donosimy teraz, że posłami tymi byli: Gorayski, Sylwester Sembratowicz, Zamoyski, Raczyński, Paszkowski, J. Męciński, Tom. Rozwadowski, K. Scipio, Zoll, A. Wodzicki, Adam Skrzyński, St. Larysz Niedzielski, St. Tarnowski (starszy, prezes Akademii), G. Romer, Fr. Jędrzejowicz, St. Tarnowski (młodszy, ze wschodniej Galicyi), Zdzisław Skrzyński, Jan Trzecieski, M. Rey, St. Stadnicki, Żardecki, Potoczek i Stręk. Wniosek ten poseł Jędrzejowicz już w Sejmie uzasadnił i wszyscy posłowie za nim się oświadczyli. W mowie swej oświadczył p. Jędrzejowicz, że już przed 11 tu laty Sejm zwrócił się z żądaniem do rządu, ażeby wadliwą ustawę o konkurencyi kościelnej zmienił. Upominali się o to i posłowie w *Radzie państwa*. Dotąd skutku nie ma, ale upominać się o to i nalegać musimy, bo ustawa dotychczasowa, uwalniająca od wydatków na kościół tych wszystkich, co w parafii nie mieszkają, choć posiadłości nieruchome w niej mają, nie jest sluszną, bo spycha znaczne ciężary tak na szlachtę w parafii osiadłą, jak i na włościan. Ten ciężar czuć się daje zwłaszcza tam, gdzie nieraz wielkie majątki są w rękach obcokrajowców albo i krajowców takich, co za granicą mieszkają. Są gminy i obszary dworskie, które wskutek tego tysiące na potrzeby kościelne płacić muszą i niejeden walący się kościół chyba z publicznych składek może być odrestaurowany. U nas od wieków tak było, że dwór i gmina wspólnie utrzymywały kościół, do którego wszyscy zarówno jesteśmy przywiązani. Niechże tedy ustawa ta zostanie podług tej naszej tradycyi dawnej i podług tego naszego przywiązania do kościoła zmieniona. Upomnienie się nasze o to będzie silnem poparciem dla posłów naszych w Wiedniu. Niech tam posłowie innych narodów wiedzą, że tego życzy sobie cały nasz kraj.

Jak już powiedzieliśmy, wniosek znalazł ogólne uznanie, a jeżeli do zmiany tej ustawy przyjdzie, będzie ona bardzo korzystna dla osiadłych po parafii mieszkańców, a niemniej i dla św. Kościoła naszego. W każdym razie należy się już teraz wdzięczność i uznanie najpierw tym, którzy sprawę tę poruszyli, a potem i całemu Sejmowi, że poparcia jej użycza.

Wogóle trzeba powiedzieć, że praca w Sejmie idzie raźno i wielkiej jest doniosłości.

Świeżo komisya budżetowa zastanawiała się nad zasiłkiem dla rolników, dotkniętych klęskami elementarnemi w r. 1893 i powzięła następujące uchwały: 1) Sejm ma wyznaczyć 100 tysięcy złr., a rząd prócz 200 tysięcy już przyznanych jeszcze drugie tyle na *bezwrotne* zasiłki dla poszkodowanych. 2) Sejm ma polecić Wydziałowi krajowemu, ażeby z funduszów krajowych użył kwoty 300 tysięcy złr. na pożyczki dla dotkniętych klęskami i takowych na żądanie udzielał przez Wydziały powiatowe. 3) Rząd ma wyjednać uwolnienie od stempli i wszelkich wydatków skarbowych, od dokumentów, jakie na te pożyczki byłyby wystawione. Te uchwały komisyi będą niebawem przedłożone Sejmowi do uchwalenia

Posłowie, wybierani z mniejszych posiadłości zwani *Kołem włościańskiem*, naradzali się nad kwestyą dostarczania soli dla bydła po zniżonej cenie i rozdawnictwa pewnej ilości soli *bezpłatnie* dla hodowców bydła, dotkniętych powodziami. Pokazało się, że obowiązkiem jest Wydziałów powiatowych energiczne podjąć w tym kierunku starania, bo gdzie te starania podjęto, tam sól uzyskano.

Poruszono także sprawę sprzedaży soli warzonki w 59 powiatach pod zarządem Wydziału krajowego pozostającej. Posłowie włościańscy podnieśli mianowicie zażalenie na dotychczasowy sposób sprzedaży i wybrali komisyę, która to wszystko rozpatrzy, a potem przedstawi Kołu włościańskiemu gotowe wnioski, jak dalej postąpić.

Poradnik gospodarczy.

O kupnie nasienia koniczu.

Stacya kontroli nasion w Wiedniu ogłasza przestrogę, by przy tegorocznem zakupnie nasienia koniczu zwrócić baczną uwagę na jego pochodzenie, gdyż przekonano się, że różni kupcy zakupili znaczniejszą ilość nasienia koniczu amerykańskiego i prawdopodobnie sprzedawać będą takowy za austryacko-węgierski. Tegoroczny (1893) zbiór nasienia koniczu w Austryi wypadł niezbyt świetnie, stąd cena jego już dziś jest dość wysoką, bo za 100 kilogramów płacą około 70 złr., a prawdopodobnie ceny z wiosną znacznie wzrosną. Wobec tego kupcom, którzy amerykański konicz nabyli o jakie kilkanaście złr. taniej, opłaci się spekulacya na nieświadomość ludzką.

Rolnik, kupujący amerykańskie nasienie koniczu, nie tylko przepłaca je, ale naraża się, że konicz może mu się zupełnie nie udać. Doświadczenia liczne dowiodły, że konicz wyprodukowany z amerykańskiego nasienia daje mniejszy plon, źle wytrzymuje naszą zimę, a wskutek tego w drugim roku znacznie rzednie. Wła-

ściciel większego majątku, kupujący kilka korcy koniczu, łatwo uchroni się przed oszukaństwem, wysyłając próbkę nabytego nasienia do stacyi kontroli nasion, lub też kupując takowe u znanej z rzetelności firmy, której na takim kupcu wiele zależy. Przeciwnie włościanie narażeni są na wyzysk, a to głównie ze zwyczaju kupowania u żydów, znanych z niesumienności, lub w handlach choćby katolickich, ale nie cieszących się dobrą opinią, byleby kupić o parę groszy taniej. Takim kupcom zazwyczaj nie wiele zależy, czy też włościanin, potrzebujący rocznie co najwyżej parę litrów nasienia koniczu, kupi u nich na drugi rok, czy też nie.

I włościanom mogłyby i powinne przyjść w pomoc stacye kontroli nasion, niestety trudnem i kosztownem byłoby dla pojedynczego włościanina, by, chcąc kupić kilka litrów nasienia, oddzielał próbkę i wysyłał do stacyi. Co jednemu jest trudnem, to kilku lub kilkunastu przyjdzie z łatwością; powinni tylko zmówić się, obliczyć dokładnie, ile wszyscy razem potrzebują nasienia koniczu i wcześnie je zamówić u jakiejś rzetelnej, sumiennej firmy, a próbkę tego koniczu wysłać do stacyi kontroli nasion*). Wówczas możemy być pewni, że kupione nasienie koniczu nie jest amerykańskie, że nie ma w niem nasienia kanianki (wylubu), jest świeżem, tegorocznem, zdrowem i że będzie w roli dobrze kiełkować. Na cenie również zyska się, bo wiadomem jest, że wszelkie nasiona, kupowane w większej ilości, są o wiele tańsze, jak kupowane w małych partyach. Ktoby nie mógł w ten sposób postąpić, a chciał się uchronić przed oszukaństwem, temu radzimy kupować nasienie koniczu tylko w handlach, bardzo dobrze znanych z rzetelności, a najlepiej w Związku handlowym Kółek rolniczych w Krakowie lub w galicyjskiem Towarzystwie handlowem we Lwowie.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa".

Z pod Bochni. Nasz Przewielebny X. Dr Maciejowski, proboszcz z Łapczycy, jest duszą gmin do jego parafii należących. Przez cały rok 1893 jak pszczoła skrzętnie krzątał się, aby nam dopomódz, pokazać prostą drogę do życia i ochronić nas od żydów, wyzyskiwaczów, pijawek. I Bóg Najłaskawszy mu dopomógł, bo w miesiącu grudniu r. 1893 z kazalnicy głosił, że założono Kółko rolnicze w Łapczycy dla naszej wygody i istotnie po nieszporach w niedzielę drugą Adwentu poświęcono dom dla Kółka w Łapczycy i od dnia tego sprzedają bardzo dobre towary i taniej niż żydzi sklepiarze, których w Łapczycy jest aż dwóch. Nasza parafia cieszy się i dziękuje Bogu, że ma takiego opiekuna w osobie X. Proboszcza, wspomina o nim z największem uszanowaniem i czcią, bo żydów ogrodził i pijaków nawrócił. Bogu składamy dzięki i prosimy Go o zdrowie dla niego, bo on sam robi rachunki i obstalunki potrzebne do sklepu i życzymy wszystkim parafiom, aby miały takich samych proboszczów jak nasz Przewielebny X. Dr Maciejowski i bronili ich dusze od zatracenia a ciało od wyzyskiwaczów żydów.

Tomasz Dylowicz, włościanin z pod Bochni.

*) Próbki takie można wysyłać do szkół rolniczych w Krakowie, Dublanach koło Lwowa, lub do Czernichowa, albo też do stacyi kontroli nasion w Wiedniu.

NOWINY.

— **Kółko rolnicze w Tenczynku** otwarło sklepik chrześcijański w Tenczynku za staraniem p. Stanisława Gustawskiego, dyrektora zakładów fabrycznych miejscowych, i p. Tylki, buchaltera. Poświęcenie i uroczyste otwarcie tegoż sklepiku odbyło się w sobotę dnia 20 stycznia przy wielkim udziale włościan całej parafii.

— **Z Nowego Sącza** piszą: Za inicyatywą Duchowieństwa i nauczycielstwa szkół ludowych urządzono w naszem mieście w gmachu nowej szkoły ludowej męskiej w dniach 14, 18 i 21 stycznia przedstawienia „Jasełek". Na każdem przedstawieniu była szczelnie zapełnioną wielka sala konferencyjna. Całość wypadła doskonale, chóry stosownie do sił młodocianych artystek wybornie ułożone, dekoracye odpowiedne, stroje dobrane, a oświetlenie sztucznemi ogniami bardzo udane. Największej pracy i staranności około przedstawień dołożył miejscowy X. katecheta D., który cieszy się sympatyą i poważaniem wszystkich warstw naszej ludności. Uzyskany dochód z przedstawień użyty będzie na sprawienie dzieciom ubogim odzieży, aby mogły wśród zimy regularnie do szkoły uczęszczać.

— **Szląsk.** Wielki zaszczyt spotkał Szlązaków. Ojciec św. mianował X. Świeżego ze Szląska austryackiego swoim tajnym podkomorzym. X. Świeży jest Polakiem duszą i ciałem i jako taki przez lud szląski w Austryi posłem obrany. Wstąpił on do Koła polskiego, aby udowodnić swojem wstąpieniem, że Szlązak jest Polakiem, i że swojego pochodzenia nie godzi się nigdy wypierać. Widocznie o jego zasługach względem Kościoła katolickiego i ludu polskiego musiał się Ojciec św. dowiedzieć i dlatego tak wielką godnością dzielnego Szlązaka odznaczył. Ten krok Ojca św. świadczy o tem, że Ojciec św. Szląsk polski ma w swojej troskliwej opiece, kiedy najdzielniejszych bojowników za wiarę i narodowość swojemi łaskami zaszczyca. — X. Świeży jest członkiem Koła polskiego w Wiedniu, oraz posłem na sejm szląski w Opawie.

Szlązacy na Szląsku pruskim dzielnie się spisali w tej chwili przy wyborach.

— **Czechy.** Proces przeciw „Omladinistom" w Pradze prowadzi się dalej. „Omladiniści", prawie same młokosy, kłamią okropnie, a przytem zachowują się tak bezczelnie i bezwstydnie wobec sędziów, że ci muszą mieć z nimi anielską cierpliwość, a czasem i karać muszą zuchwalców.

— **Księciu bułgarskiemu** urodził się syn, jak telegraficznie donoszą. Wielka musi być radość w tym kraju, który tak dzielnie opiera się schyzmatyckim wpływom moskiewskim.

— **Piękny przykład** dał z siebie jeden młody człowiek w Prusach. Jak u nas, tak i tam *masońskie usłużniki* wielu dobrych ludzi obałamucili. Młodzieniec ten także był obałamucony i kilkakrotnie występował w jakiemś *masońskiem* piśmie przeciw *Kuryerowi Poznańskiemu*, katolickiemu pismu. Teraz młodzieniec on błąd swój poznał, od *masońskich usłużników* odstąpił, a w *Kuryerze Poznańskim* wydrukował list, w którym to pismo i redaktora pięknie przeprosił

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. T. M. w C. Bóg zapłać za pamięć i list piękny. *Krakus* wszystkich Was, drodzy Bracia, ma w sercu, pozdrawia po niezliczone razy całą Waszą parafię, a Przewieleb. X. M. składa wyrazy najgłębszego uszanowania. A nie zapominajcie, drodzy Bracia, i nadal o *Krakusie!*

P. W. Mal. w Rz. A kto Was nie słucha, mówił Chrystus Pan do Apostołów i ich następców Biskupów i Księży, ten niechaj będzie jako poganin i celnik. To przypomnijcie temu obałamuconemu przez te zakazane pisma. Przekonywać i oświecać go trzeba, ale robić mu przykrości nie należy. On sam powoli uzna prawdę, a reszty dokona Wasz czcigodny X. Proboszcz. A jeżeli i X. Proboszcza nie usłucha, to spełnią się na nim słowa Chrystusa Pana i odbierze nagrodę za to już w tem życiu, a jak nie, to w przyszłem.

P. M. D. w K. Toście doskonale zauważyli, że te zakazane piśmidła nie tylko *masoństwem* cuchną, ale i *schyzmą*. Bóg zapłać za dobre słowa.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
4	*Nied. 5 Zapust.* Weroniki panny.	7	7	4	36
5	Pon. Agaty panny męcz. 🌕	7	5	4	38
6	Wt. Doroty panny męcz.	7	4	4	39
7	Śr. *Popielec.* Romualda opata w.	7	3	4	41
8	Cz. Jana z Mathy i Cyryaka.	7	1	4	42
9	Piąt. Apolonii panny m. i Sabina.	7	—	4	44
10	Sob. Scholastyki p. i Sylwiana.	6	59	4	46

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 30 stycznia.

Płacono: za pszenicę białą od 7 złr. 60 ct. do 8 złr. 15 ct., za czerwoną od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. — ct., za żółtą od 7 złr. 40 ct. do 8 złr. — ct., za żyto od 6 złr. 30 ct. do 6 złr. 60 ct., za jęczmień browarny od 6 złr. 50 ct. do 7 złr. — ct., na kaszę od 5 złr. 30 ct. do 5 złr. 65 ct., za owies od 6 złr. 30 ct. do 6 złr. 90 ct., za rzepak od 12 złr. 50 ct. do 13 złr. 25 ct, za wykę od 7 złr. — ct. do 8 złr. — ct., za koniczynę czerwoną od 70 złr. do 80 złr., za białą od 65 złr. do 80 złr. — Wszystko za 100 kilogramów.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego